



## DWA MŁOTY.

Kiedy się w Grobach Królewskich świata spotkał Nietzsche, nazywający siebie „Fryderykiem Niewczesnym” (Friedrich der Unzeitgemässe) z Wyspiańskim, którego Polska nazwie z czasem Stanisławem Śmiałym, ze zdziwieniem zauważyli, że są sobie pod wieloma względami bardzo pokrewni.

Ja osobiście uważam, że nie należy zbyt przesadzać podobieństwa Nietzschego do poezji polskiej. Czasami wprawdzie ołsniewa tożsamość rzutów poetyckich, n. p. między Zaratustrą a Szamanem z Anhellego, królem i księdzem w jednej osobie, mającym na głowie wieniec z węzów niezwywych. Waż, jeno że żywy, jest właśnie jednym z honorowych zwierząt Zaratustry, także właściwie jakoby króla i świeckiego księdza.

Przecież wszystkie wielkie czyny na owej sybirskiej ziemi wygnanców przychodzą na świat tak samo, jak u Zaratustry „na gołębih nóżkach”. Gdy Fryderyk Niewczesny rzuca kłutwę na chrześcijaństwo i w larwie Antychrysta szatańsko kusi do niewiary, to jak gdybyśmy patrzyli na Masynisse, kiedy złorzeczy ukrytym w kaktambach chrześcianom, że udaremnili wielki spisek Irydyona przeciwko Rzymowi. I temi samemi słowy, co ostatni uczeń Dyonizosa, wielbi Masynissa gasnące słońce Hellady.

A ileż to razy Słowacki, podobnie jak Irydyon i Hrabia, przybiera postawę zupełnie nadczłowieczą, opędza się rozmaitym „wyższymi ludziami” i „szarym gospodarzom!”

Sam demokratą drwi z demokratów, że gotowi są plwać nawet na księżyc, że jest srebrny. On się tak boi bliźnich i bliskich i wszelkiego poufalstwa i bałwochwaltstwa, że woli stać na górze „bliżej piorunów, niż gadu, co ślini pocałunkami nawet twarz człowieka”.

Ale prawdziwe, rzetelne powinowactwo zjawia się dopiero wtedy, gdy Słowacki odejmuje się „duchom w przeszłość odwróconym”. Bo ze wszystkich strun na Derwidowej harfie Zaratustry najmocniej brzmi ta, któraby mogła być zarazem ciężką łuką ażeby puścić strzałę w przyszłość.

Tamto były podobieństwa w rysunku posagów; Fryderyk Niewczesny n. p. nazywa Heraklita, dumnego filozofa, po krakowsku „królewskim”. Rzetelne zaś podobieństwo dusz będzie dopiero w dążeniu despotycznym do nadczłowieka, do jutra. Odzwyczać ludzi od Fetysza i od człowieka, a nauczyć ich nadczłowieka, to jest olbrzymą przyszłych czasów, wielkoluda woli i twórczości, oto idea Fryderyka Nie-

wczesnego. Gdy więc ona zadzwieczy u jakiego polskiego barda i wszystkie orły jutra spłoszą wszystkie nietoperze wczoraj, to wtedy będzie dowód, że Fryderyk Niewczesny i poeta polski są z sobą skoligaceni.

Gdzież więc wobec tego jakiegokolwiek podobieństwo do Stanisława Śmiałego? To też zdziwili się wielce obydwa, gdy spostrzegli, że mimo to są do siebie podobni.

Fryderykowi Niewczesnemu nie było to na rękę i w głębi duszy zrywał się i zaczął Stanisławowi Śmiałemu dogryzać całym jego historyzmem dramatów i poematów. Przy tej okazji powołał się z właściwą sobie skromnością na swój traktat „O pożytku i szkodzie z nauki historii” i potężnymi słowy, jakby uderzeniami młota, rozbijał świętości historyczne i wszystkie zawalidrogi na gościńcu, wiodącym do pojutra. Zakończył zaś tytułem innej swojej rozprawy: *Tak się filozofuje młotem* i ciągnął dalej: *Młot młoci* — straszliwa to była mowa! A potem już łagodnie pouczał Stanisława Śmiałego:

— Niech się do poetyzowania królów polskich biorą tylko wtedy, gdy potrafią z nich stworzyć pół-bogów mocy i mądrości, a nie figurantów udratyzowanej historii. Niech z każdego dramatu dzisiejszego bije źródło odżywcze i odświeżające, źródło potęgi i bogactwa. Baczcie, żeby scena nasza nie była wystawą stylowych kostymów, zmieniającą się co tydzień. Co sobota to inny król lub syn królewski, a kiedyś będzie prawdziwy nadczłowiek? Kiedy przyjdzie Erynius, smagany żmijowemi różgami swoich siostrzyce Erynnij (zakończenie *Wyzwolenia*)? Kiedy przyjdzie król na miarę Edypa?

Ale w tem miejscu Stanisław Śmiały spokojnym, choć cichym głosem przemawiał Fryderykowi:

— Przecież ja tego samego właśnie domagam się w *Wyzwoleniu*.

Okazało się, że Fryderyk Niewczesny nie znał *Wyzwolenia*, a nawet go nie przeczuwał.

W rzeczy samej dzieło to tak odbiegło od wszystkiego, co Wyspiański stworzył przed tem, i tak je negowało i przekreślało, że o nieporozumienie było bardzo łatwo. W „Wyzwoleniu” odepchnął groby i cmentarze, przeklął cały smutek długiego dnia zadusznego, w którym dotąd błędził. Odrzucił precz całe królestwo śmierci i wszystkie świątobliwe i męczeńskie glorye, któremi częstowano Polskę, byleby się „ślubowała śmierci”.

*Wyzwolenie* — to dzikie, tytaniczne, nieskoordynowane otrząśnienie się z odurzenia dymami gromnic, wyrwanie się z upojenia zapachem myrrhy, przelewanej nad pogrzebowymi stosami. Więc kiedy się Fryderyk Niewczesny dowiedział, że Konrad nie słucha syrenich głosów teatralnej muzy, i na jej pytanie: dokąd idzie? odpowiada: *Idę, aby walić młotem!* — zdumiał się niepomierne i wtedy dopiero spostrzegł w mdłym brząsku nocy, że i Stanisław Śmiały ma u boku młot, młot złoty, snadź przekutwy ze Złotego Roga. Boć przecie proroczy róg Wernyhory, co zagubiony przez parobka, huknął dotąd po lesie, został właściwie, aczkolwiek w zmienionej postaci, przez Konrada odnaleziony.

A wtedy sympatycznie nastrojona dusza Fryderyka zlagodniała. Dostrzegł wiele innych niespodzianych rzeczy. A nawet i ową Hestię, boginię ognia w „Wyzwoleniu”, tego samego ognia, który wykradł ongi Prometeusz, ukochany Fryderyka symbol i pierwszych książek jego ozdoba. A potem znów ujrzał owo dziecko w kołysce, kwiat przyszlých pokoleń — właśnie takie samo dziecko, jak to, o którym mówi Zaratustra. A potem usłyszał płomienny dytyramb Konrada na cześć życia, mocy i słońca a przeciw śmierci, mogiłom, melancholii i mistykom. I zdawało mu się, że to on sam Zaratustra, niby obarczona miodem pszczoła, zlatuje znowu jak ongi na niziny nieś ludziom swoje złote światło.

Było to zdumienie całkiem naturalne. Ta dziwna sztuka, zuchwały i niemożliwy eksperyment dla sceny, tak druzgoce dawne tradycyjne wartości Stanisława Śmiałego, jest takim gwałtownym przesileniem i przełomem i tyle posiada momentów nderzająco nietzsche'ańskich, że możnaby mieć najcudacniejsze pomysły o źródłach

tej zbieżności, gdyby się przedtem już, w dawniejszych utworach Stanisława Śmiałego, nie czuło ukrytych linii młota.

Zbratani, postanowili zejść się także i następnej nocy.

Jakoż, gdy dzwon z powietrznych przestworzy zaczął wybijać godzinę dwunastą, a Zaratustra w takt uderzeń wyśpiewał swój globowy nocturn Szopena, nazwany „pięnią pijaną” o wielkim i głębokim bólu i o potężniejszej jeszcze i większej szczęśliwości, wyszły znowu duchy z grobów królewskich świata, oba zbrojne w swoje młoty i toczyły już przyjacielską pogawędkę.

Fryderyk Niewczesny wynurzył przed Stanisławem Śmiałym swój żal do Krakowa. „Gdy jaki herold — mówił — przybędzie pod bramę Floryańską, ażeby głosić moją chwałę i mój ród sarmacki, to choćby głos jego był dla oczów jak krew, a dla uszów jak spiz, napewno zagłuszy go klask policzka, wymierzonego przez jakiego bałkańskiego awanturnika własnemu ojcu — i pisma wasze nie poświęca mi tyle wierszy, ile potrzeba na depeszę o pierwszym spadłym w Baraniej Wólce śniegu.

— Mój drogi, — odparł Stanisław, śmiejąc się, — jesteś niesprawiedliwy; zapominasz, że dyabeł Stadnicki był na naszej scenie zupełnie ucharakteryzowany na ciebie, miał nawet takie same wąsy...

Na to Fryderyk Niewczesny:

— Istotnie, masz słusność — zdaje mi się nawet, że cały nietzscheanizm twoich rodaków polega na przyprawianiu mi wielkich wąsów...

— Tak, jak kult Byrona, z którego przecież i ty potrosze się wzięłeś, Fryderyku, polega na wiazaniu mu olbrzymiego krawata. To trudno, mamy nieraz takich dokoła siebie wielbicielei, że wolelibyśmy już wrogów. Zresztą, twoja to własna wina, żeś mieszkał wśród Niemców, choć się tak szczyisz, że pochodzisz z Polski. Trzeba było żyć pośród nas a Krakowianie uwieczniliby cię całego. Figurowałbyś całą postawą swoją — na rynku...

Fryderyk Niewczesny groźnie ścisnął swój młot.

— Daruj, ale nie myślisz chyba obdarzać mnie pomnikiem na wzór i podobieństwo Adamowego?

— Nie chcę takiej wieczności i takiego hołdu!

— Wolę umrzeć po raz wtóry.

— I w godzinie śmierci nie jest się bezpiecznym, — żałośnie potrząsając głową, odrzekł Stanisław Śmiały. — I przy skonaniu zdarzają się *lapsusy*, nawet mnie samemu zdarzył się taki lapsus. Dopiero w trumnie opamiętałem się, że za dużo miałem hołdowników. Wielkiemu artyście zawsze bezpieczniej mieć ich zamało, niż zawieli. Co innego przyjaciele, a co innego czolobitni. Co innego druhowie, a co innego polujący na szczyt asystowania wielkiej śmierci, ażeby go potem literacko spieniężyć. To — robactwo, które żywe jeszcze ciało toczyć zaczyna...

Wolę zresztą, gdy się przeciw mnie trochę buntują, niż gdy zanedo padają plackiem, co mnie zmusza do ciągłego patrzenia w dół, kiedy jawnym wolał spoglądać w niebiosa. Ci sami, gdy przyjdzie za rok lub dwa jaka nowa „Młoda Polska”, pierwsi się odemnie odwrócą i powiedzą, że był całe życie chory i że choroba i rozkład już wyzerają z rozmyślnej dysharmonii moich wierszy, z Tyrtejskich dysonansów mojego stylu.

— To tak samo, jak mnie okrzyczano waryatem, ponieważ zamroczył mi się umysł od dźwigania światów i przygasił wzrok od patrzenia w ślepiące słońce. Uproszczone sobie zadanie zrozumienia mnie. Obawiam się, że zostaną po mnie tylko wąsy... Lecz dokąd idziesz, Stanisławie Śmiały, i czemu tak gniewnie spozierasz dokoła?

— „Idę, aby walić młotem!”

Cezary Jellenta.

